№ 48. Warszawa, dnia (14) 26 Listopada 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3. pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Broda, jak zawsze, wichrzyła mu się zawadyacko, wązkie piersi wystawiał naprzód, jakby szukał zaczepki, ale oczy jasne, i jak u dziecka okrągłe, patrzyły życzliwie, serdecznie—prawie potulnie.

— Panna Wandzia myśli: co ten marny studentus plecie o pomocy! Sam wygląda jakby jej potrzebował. Ale panna Wandzia myśli fałszywie. Popiołek ma swoją summę, swoją własną. Jest mu wcale niepotrzebna, i z przyjemnością powierzy ją siostrze na walkę z mamutami. Kiedy ma być szopka, niechże będzie krakowska!

— Ależ, bracie – podjęła Wanda — zapomniałeś, że twój własny los nie jest jeszcze ustalony. Przytem, masz matkę starą i podobno słabowitą.

— Matce krzywda się nie stanie. Oddzielił już się ja od niej majątkowo. Matka dała sobie radę z Grochokapustinami — da sobie radę ze wszystkiem. A kłopotać się o mój los także nie trzeba. On już zupełnie ustalony.

— Wszakże brat kursów nie skończył i nie masz jeszcze posady?

— To nic. Mam ja rzecz daleko pewniejszą..

— Co takiego?

— Suchoty.

Panna spojrzała na niego zdziwionemi oczyma, myśląc, że żartuje.

— Su-cho ty — powtórzył z naciskiem. — Przedoskonała rzecz! Odrazu wiesz czego się trzymać i co z tobą będzie. Taka pewność dużo warta Dlatego drudzy ludzie tak się rwą, szarpią i bokami robią, jak konie w „drożkach," że nie wiedzą, co z nimi będzie jutro. A ja wiem — i dlatego u mnie zawsze uszy do góry.

Zaśmiał się głośno i rzucając niedopałek, sięgnął zaraz po świeżego papierosa. Śmiech zakończył się długim i męczącym kaszlem.

— Ależ to najpewniej przywidzenie... — rzekła Wanda z niejaką czułością w głosie.— Doktorom nie zawsze można wierzyć. Brat nie wyglądasz na suchotnika.

Zaciągnął się silnie papierosem i rzekł poważniej:

— Niechno panna Wandzia posłucha. Leczył ja się długo u doktorów, i mówili mnie oni Bóg wie co takiego. Tak ja rzucił ich wszystkich w końcu do dyabła. Ale był u mnie przyjaciel jeden od serca — znawca dobry, z medycyńskiego fakultetu. Ten przyjaciel zawsze mówił prawdę; żebyś mu położył sto rubli—nie skłamał. Więc ja jego prosiłem w tym roku, żeby on mnie powiedział jak brat bratu: czy ze mnie będzie co, czy nie będzie? No, i powiedział.

— Co powiedział? — spytała żywo kasycrówna.

— „Ty, Michale Michajłowiczu, przy egzaminach sobie folguj. Na co tobie rwać się! Przez te dwa, trzy lata, tak ci będzie bez stopnia, jak i ze stopniem." Ucałował ja jego w obie gęby, i zaraz my poszli pić. A egzamina swoim porządkiem złożył, bo my tam wszyscy z naszych stron dali sobie słowo trzymać się ostro, żeby nas szanowano.

Wanda milczała. Zaskoczona niespodzianemi wynurzeniami brata, nie wiedziała ani jak je sądzić, ani co na nie odpowiedzieć. Była zaś zbyt rozumna, aby w tej chwili występować z jakąś pospolitą zdawkową uprzejmością.

Popiołek, po małym przestanku, ciągnął:

— Odłożył ja tyle co potrzeba na dwa, trzy lata, reszta niech służy innemu. Żony u mnie niema i nie będzie; matka kobieta przemądra—więcej ma, niż potrzebuje. A zawsze tak i ciągnęło mnie do panienek uczonych. Tamta mi zawsze stała przed oczami—generalszy córka, co dni dziewięć żyła herbatą bez cukru. I umyślił ja sobie wówczas dostarczyć innej podobnej panience cukru do herbaty. Ot, i wszystko.

Teraz dopiero Wanda zdobyła się na uwagę.

— Zapomniałeś brat o jednem. Ani brat nie masz prawa czynić mi ofiar, ani ja przyjmować ich od brata.

— Niech dyabli porwą! — zaklął student.— To ja może i głupstwe palnąłem. U panny Wandzi, widzę, wszystko na etykiecie. Ale co po niej! Wszystkiego na prawie nie oprzesz. Bywa prawo mądre, bywa i głupie. Brat nie ma prawa pomódz siostrze, ale u matki jest prawo trzymać córkę w niewoli, a u ojca nie oddać córce własnych jej pieniędzy. Ale ja wiem: ceremonie, ambicye, etykiety... Tamta była taka sama!

Rzucił papierosa, namarszczył się i dodał:

— Co tu zresztą mówić o ofiarach. Ja siostrze pożyczę, a siostra oddasz mi później ze swojej summy.

— Wszakże brat słyszałeś: zagrozili mi adwokatem...

— To nic. Przeciw adwokatowi może być drugi adwokat. Ja poczekam. Dwa, trzy lata czekać mogę.

Wanda wstała z kloca. Wysoka, prosta, o pół głowy przerastająca Popiołka, przystąpiła doń i rzekła prędko:

— Pomyślę o tem. Tymczasem — dziękuję.

Wyciągnęła rękę, i podaną sobie dłoń studenta silnie, po męzku potrząsnęła.

Zaraz potem wrócili oboje do domu.

Dość długo namyślała się kasyerówna czy przyjąć pomoc brata. Jak wszyscy ludzie oddani pracy naukowej, była nad miarę ambitna. Jednocześnie, jak wszystkie kobiety, uwodziła się nad miarę pozorami.

Gdyby Popiołek był człowiekiem zdrowym, silnym, na krzepkich nogach wśród świata stojącym, mniejby uczuwała skrupułów. Jego mizerna twarz, częsty kaszel, choroba nieuleczalna, o której mówił, napełniały ją dziwnem uczuciem nieśmiałości, graniczącej z trwogą. Zdawało jej się, że biorąc pieniądze, krzywdziłaby go, okradała...

Upływały przeto dnie całe, a Popiołek nie mógł doczekać się odpowiedzi. Wanda spędzała te dnie wyłącznie nad książką i przy fortepianie. Z rodzicami sporów nie wszczynała, i po dawnemu była spokojna i na wszystko obojętna. Prostopadła jednak zmarszczka pomiędzy brwiami z czoła jej nie schodziła.

W tym czasie zaszły dwie, drobne z pozoru okoliczności, które na los jej wielki wpływ wywarły.

Pierwszą z tych okoliczności było przeczytanie książki francuzkiej, zawierającej życiorysy znakomitych ludzi. Życiorysy te, rozmyślnie czy też wypadkiem tak były ułożone, że w każdym na pierwszy plan wysuwała się: walka przyszłej znakomitości z rodziną. Z genialnych malarzy rodzice chcieli gwałtem uczynić kupców korzennych; genialni poeci zmuszani byli przez rodziców do poświęcenia się zawodowi adwokackiemu; genialnym uczonym ojcowie i matki wydzierali z rąk książki i narzędzia naukowe, odsyłając ich do rzemiosła i handlu.

Wypływał z tego wszystkiego wniosek, że posłuszeństwo natchnieniu i powołaniu nie może iść w parze z posłuszeństwem dla rodziców. Owszem, ludzie znakomici o tyle tylko stawali się takimi, o ile w chwili danej potrafili się z obowiązków rodzinnych — wyzwolić.

Ludzie zwyczajni—mówiono w owej książce—wloką się po drodze życia zwolna i ociężale. Ci natomiast, których przeznaczenie powołało do rzeczy wielkich, lotem orłów pędzą przez życie. Wół roboczy — stworzenie zresztą najzacniejsze i szacunku godne — za orłem nie zdąży; czyż orzeł, dlatego tylko, aby mu towarzystwa dotrzymywać, ma stawać się gęsią?

Ileż rodziców płakało w pewnym czasie na dzieci swe nieposłuszne i buntujące się, a z dzieci tych padało na nich później wielkie światło chwały i zadowolenia. Gdyby dzieciom zabrakło odwagi do zerwania z powszednim obowiązkiem, sameby zmarniały, i starość rodziców swych uczyniły smutną.

Ta książka, wieczorem przeczytana, nabawiła Wandę nocy bezsennej. Nazajutrz wstała z głębszą jeszcze zmarszczką między oczami.

Już była zdecydowana, że rodzicom posłuszeństwo wypowie. Choć w słowach cicha i prosta, utożsamiała się w myśli z wielkimi ludźmi. Czuła, że ją porywa wicher wielkich idei i wielkich pragnień, i niesie za tamtymi. Opierać mu się byłoby grzechem, byłoby też rzeczą nadaremną.

Postanowiwszy już jednak zerwać z rodzicami, myślała, czy nie potrafi obyć się bez pomocy Popiołka. Wszakże i gdzieindziej znaleźć ją potrafi w formie pożyczki na zapis testamentowy. Nie wiedziała jednak zupełnie jak się wziąść do tego. Po długim namyśle powzięła zamiar szukania rady u panny Sabiny.

Zjadłszy śniadanie w swoim pokoju, wybierała się właśnie do nauczycielki i przyjaciółki, gdy matka przysłała służącą, wzywając ją do siebie.

Dalewiczowa leżała w łóżku chora. Miała kurcze żołądka, na które peryodycznie zapadała. Tym razem cierpiała podwójnie, bo właśnie przygotowano w domu wielkie pranie, a ona nadzoru nad niem mieć nie mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z za rzek i mórz.

Podobno byli niegdyś ludzie o umysłach tak wrażliwych, że ich jedna przeczytana książka pobudzała do czynów naśladowczych—ludzie, którym się utopje nawet poczęte w głowie autora, udzielały z taką siłą, że je na przebój kosztem ofiar i poświęceń wprowadzali w życie.

Wszak czytamy dziwy istne o usiłowaniach zakładania społeczności idealnych po wyjściu dzieła Tomasza Morusa. Autor Rinaldini'ego, jak opowiadają, musiał zabrać ze sobą na tamten świat spory ciężar odpowiedzialności za przygody niedojrzałej młodzieży, zbiegającej się dziesiątkami całemi do band rozbójniczych, gwoli poprawienia wadliwej niby sprawiedliwości ziemskiej, a i cierpienia młodego Wertera wydały przecież ten błogosławiony skutek, że pewna ilość nieużytków społecznych przekonawszy się o nicości zachodu życiowego, przyśpieszyła sobie na poczekaniu rozwiązanie zagadki bytu, przy pomocy jednego marnego prochowego naboju.

Nie mówiąc o tem, że takie, jak ostatnio wzmiankowane, uwalnianie społeczeństw od bezużytecznego balastu, miało bądź co bądź obok złych i swoje niezaprzeczone dobre strony także, notujemy tutaj tylko wyższą ongi niż dzisiaj podatność ludzką na wrażenia pochodzące od rzeczy przeczytanej — podatność, o którą za dni naszych bardzo trudno być zaczyna. Arcydzieł przecież w literaturze doby ostatniej mamy ilość bardzo pokaźną, a o przyjmowaniu na siebie roli czynnej bohaterów i bohaterek romansów, nie słychać jakoś wcale. Pokazuje się, że są jednakże wyjątki.

Jednemu z ostatnich właśnie w tym rodzaju cudów, zawdzięcza podobno istnienie swoje tak zwany „Pałac pracy" w Londynie. Legenda powiada, że romansopisarzowi angielskiemu Walterowi Besant zamarzyło się w r. 1882 puścić w świat powieść, w której występuje dwoje rozmiłowanych w sobie fanatyków idei podniesienia moralnego i materyalnego poziomu ludu. Oboje oni byli młodzi i piękni, oboje na życie oddani myśli swojej, a tem się jedynie różnili od siebie, że on mógł być tytułowym bohaterem w „Miłości ubogiego młodzieńca," podczas gdy ona przedstawiała jako unikat naszej epoki — zaklętą w postać pracownicy księżniczkę, z tysiąca i jednej nocy. Rozumie się, że młodzian miał w głowie gotowy plan takiego masowego umoralniania i uszczęśliwiania klas pracujących, a ją wraz z jej milionami Opatrzność powołała do nadania kształtów jego marzeniom. Wspomnieć wypada oczywiście, że plan polegał na metodzie uspołeczniania przy pomocy domów pracy i rozrywki zarazem, co jeżeli ze względu na milionowe zastępy biednych i ciemnych, nie wydaje nam się robotą dosyć skuteczną i dosyć pospieszną, za to jest robota taka niewątpliwie jedną z tych, które utalentowanemu powieściopisarzowi dają pole do popisu przed optymistycznie nastrojoną rzeszą ludzi młodych, wierzących chętnie we wszelkie życiowe „fiat," a w braku ostatniego—we wszelkie „hocus pocus" chociażby.

Otóż cud, o którym wspomnieliśmy, polegał na tem, że znalazł się osobnik, który się poddał suggestyi powieściopisarza, i do tego stopnia uwierzył w owocność takiego sposobu uszlachetniania i umoralniania, że ofiarował znaczny fundusz na założenie przedstawionego w powieści „domu pracy." Ten poczęty w krainie fantazyi dom istnieje rzeczywiście w Londynie i funkcyonuje od lat kilkunastu, a o korzystnym przezeń wywieranym wpływie szeroko rozpisują się dzienniki. Mówią tedy, że ta założona w roku 1887 instytucya filantropijna, ma za cel dostarczanie ludowi zdrowych i tanich rozrywek, a przez to odciągania go od szynków; nieodłącznie od tego zadaniem jej jest budzić w młodzieży chęć do wiedzy i szerzyć wśród tłumów smak estetyczny. Każdy ma prawo wstępu do tego domu, ale chcący korzystać z urządzeń jego wszystkich muszą być członkami stałymi, za co uiszcza się 3 szylingi kwartalnie (nominalnie 1 rubel). Takich członków liczy instytucya kilka tysięcy, i ci za pewną opłatą mają wolne wejście na zabawy, koncerty i wystawy sztuki miejscowe. Dla dzieci są tutaj sztuki magiczne, teatry maryonetek, psy uczone i t. p. Bywają też odczyty i pogawędki treści humanitarnej, a kilka razy do roku wieczory tańcujące, na które zbiera się po 1,000 osób z górą.

Ah, czemuż życie nie jest poematem! Gdyby nim było, z jakąż satysfakcyą poddałby się każdy człowiek dobrej wiary suggestyi podobnej, i jak błogo byłoby mu uwierzyć, że taką homeopatyą leczą się rany zadawane przez przez nędzę w społeczeństwach dzisiejszych. Niestety! Kiedy przyjdzie pomyśleć o kilku milionach ludności ubogiej Londynu, tonącej w oceanie zepsucia, poniżenia moralnego, a nędzy materyalnej, o których ostatnie słowo służba bezpieczeństwa i grabarze cmentarni powiedzieć mogą jedni, te parę tysięcy członków „domu pracy" wraz z jego koncertami, wieczorami tańcującymi, odczytami i całą niedołężną kopią życia ludzi możnych, bez najmniejszego w gruncie rzeczy wpływu na byt materyalny tych nawet wyjątków, wydają się bolesną ironią. To też ten, kto to wszystko razem weźmie pod uwagę i zestawi ze sobą, przyznać musi koniecznie, że filantropia próbująca zażegnać nędzę społecz-

ną, odgrywa za dni naszych potrochu rolę naiwnego motyla, siadającego na kole ugrzęzłego ładownego wozu. Furmanem w istocie jest tu państwo, rolę koni spełnia jego aparat więcej lub mniej doskonały, zabezpieczający, wedle tego jakim jest, skuteczniej lub mniej skutecznie losy owych milionów, ale miłosierdzie publiczne, ale filantropja, to motyl—zacny, poczciwy, naiwny motyl i więcej nic. Niechajnoby państwo nagle przestało troszczyć się o te swoje rynki zbytu dla przemysłu, niechby nie mogło otwierać peryodycznie coraz nowej klapy bezpieczeństwa pod postacią kolonii zamorskiej, do której zdąża dziś wszystko co zbyteczne tutaj, zobaczylibyśmy jak bez emigracyi wyglądałaby Anglia ze wszystkiemi swojemi dziełami miłosierdzia, i z całym aparatem dobroczynnym, pomimo, że ten jest i doskonalszy i hojniej uposażony jak gdziekolwiekbądź na europejskim kontynencie. Emigracya, oto naprawdę jedno jedyne wielkie słowo ratujące położenie rzeczy.

Kiedy już wymówiliśmy to słowo, które prawdę rzekłszy, nie tak bardzo sympatycznie wpada do ucha, musimy cośkolwiek powiedzieć i o wychodźtwie naszem własnem do Ameryki, o którem tak wiele jeszcze pisało się przed kilku laty, a o którem cicho i głucho od jakiegoś czasu po wszystkich pismach warszawskich. Oto w ostatnich dniach tego miesiąca „Kuryer Codzienny" dał niezbyt obszerną wzmiankę o kolonistach naszych w Brazylii, opierając się na wyszłym tam na miejscu kalendarzu pod redakcyą Bernarda Zdanowskiego. Rocznik ten jest pierwszą publikacyą, która poucza Polaków w ich języku rodowitym o stosunkach emigracyi w Kanadzie, Argentynie, Brazylii, a między niemi—głównem ich siedlisku Paranie. Są tam podobno dosyć ciemne niektóre strony tych stosunków, i te uwydatnia w tym kalendarzu jaskrawo bardzo p. Edward Stefczyk, w artykule pod tytułem: „Krótki opis stanu Rio Grande de Sul." Jak w istocie jest z tą emigracyą wie niby coś niecoś Galicyjskie Towarzystwo geograficzne, ale czy to jest wszystkiem, co my znać mamy obowiązek — wątpić należy. Od najułudniejszych obrazów pomyślności materyalnej, aż do epizodów nędzy i niedoli wychodźców naszego świata, wszystko nas ztamtąd dochodzi, a Bóg jeden tylko wie, co jest prawdą, i czego się pod tym względem trzymać należy. Z jednego np. źródła takich wiadomości sądząc, możnaby przyjść do wniosku, że emigranci nasi, którzy osiedli w Paranie, wyciągnęli wielki los na loteryi życia. Mają tam być bogactwa flory bajeczne, zaspakajające materyalne potrzeby rolnika w sposób zbytkowny; jest jakaś fasola, przy której manna biblijna bardzo mizernie wygląda, a której co do smaku żadna z jarzyn starego i nowego lądu niedorównywa. Osadnik nasz polski ma do codziennego rozporządzenia swego więcej mięsa, niż miał u nas w dniach świątecznych. Słyszymy też o pieniędzach przysyłanych przez wychodźców rodzinom, za które one nabywają w kraju kolonie, i to są niezaprzeczenie wiadomości autentyczne, te ostatnie naprzykład, bo mamy je od ludzi zupełnie zasługujących na wiarę. Z drugiej strony musiało odbieranym przez nas relacyom nie zbywać i na ciemnych barwach także, skorośmy się kładli w poprzek temu prądowi w swoim czasie, i takich srodków heroicznych chwytali, żeby położyć tamę wychodźtwu. A tymczasem my naprawdę i dotąd nie wiemy, sumiennie mówiąc, czego się trzymać, a nie wiemy dlatego, że nam się nie chce zebrać drogą składek marnych kilku lub kilkunastu tysięcy rubli, za które możnaby wysłać delegacyę ludzi zaufania, zdolnych do zasadniczego sprawozdania o wszystkich warunkach bytu tej ostatniej emigracyi naszej. To co nam dostarczyli dotychczasowi delegaci warte było prawdziwie tych summ, któreśmy im w hojności naszej na drogę przeznaczali. Gdybyśmy mniej interesowali się sprawami, które nas nic obchodzić nie powinny, z pewnością zdobylibyśmy się na ten lichy grosz, i ulżyli przez to publicznemu sumieniu naszemu, a niejednej potrzebie zaradzili może skutecznie w przyszłości.

Na Galicyę gderać potrafimy, a po galicyjsku radzimy sobie w tej oto np. sprawie chociaż co do tej prowincyi, tośmy się raz uspokoić powinni, dowiadując się, jakie jej przeznaczone są losy z łaski wszechmocnej „Alliance Israélite." Oto podaje w tej materyi „Wiek," jako wierny przedruk z katolickiej „Germanii," manifest tego związku wystosowany do galicyjskiej Judei:

„Bracia i współwyznawcy! W całym świecie niema dziś zapewne zakątka ziemi, któryby tak podatnym był dla objęcia go w posiadanie zupełne przez plemię nasze, jak Galicya. Ten kraj musi być naszym; wszystko sprzyja temu. Starajcież się bracia współwyznawcy zawładnąć tą ziemią jak najrychlej; starajcie się wyprzeć chrześcijan ze wszystkich sfer ich działalności i stać się jedynymi niepodzielnymi panami kraju. Starajcie się wszystko to, co dzisiaj jeszcze do nich należy, zagarnąć i ująć w swoje ręce, a jeżeli nie macie ku temu dostatecznych środków, nasz związek wam ich dostarczy, ile będzie potrzeba. Zbieranie oflar na ten cel już się rozpoczęło, i nadspodziewanie pomyślnie postępuje. Na ostateczne wyrwanie ziemi Galicyjskiej z rąk Galicyan, a oddanie jej w wyłączne i jedyne posiadanie wasze, składają się bogacze całego świata. Daje na to baron Hirsch, dają Rotschildowie, Bleichrödery, Mendelsohny. Wytężcież więc bracia współwyznawcy wszystkie siły wasze, aby cel, który wam wskazujemy, jak najrychlej osiągniętym został."

Oto przyszłość, która się nam uśmiechać powinna.

X.

VIOLA.

Urywki z pamiętnika artysty.

(Ciąg dalszy).

Dziwnie, bardzo dziwnie było mi w owej chwili. Wrażenia z błyskawiczną szybkością przebiegały po moich nerwach, myśli tysiące zapalało się w mózgu i gasło. Jedno wspomnienie zapanowało nagle nad wszystkiem. Przyszła mi na myśl, że za chatą moją w lesie była naga, samotna, opuszczona mogiła. Może to ta, do której on wyciągał nagie, wyschłe ramiona. Może ta sama, może taka sama. I w tej chwili usłyszałem płacz głuchy, ten płacz, który gonił za mną, gdym z ojczystej chaty szarym, śnieżnym rankiem uciekał w świat, ale w melodyi jego były jakieś tony, których nie odróżniałem przedtem. Może to mogiła ta płakała tak po mnie.. Może, wszak dzieckiem śniłem o niej nieraz. Wstawali z niej umarli, i z rozkrzyżowanemi ramiony, jakby błogosławiąc ziemi, szli ku polom dalekim. Gdy stałem tak zasłuchany i pełen dum, Viola wzięła mnie za rękę i łagodnie jak dziecko, wyprowadziła z pokoju.

— Powiedz mi, czy to mogiła?.. — pytałem nieprzytomnie.

Zdaje mi się, że odpowiedziała: „tak, to mogiła płacze..." A może to wszystko snem było tylko, doprawdy, ja nie wiem... ale płacz ten słyszę dotąd i smutny jestem, i cichy, i znowu malować mogę ubogą, śniegiem zasypaną chatę, i sosny leśne, i między sosnami rzuconą gdzieś tę mogiłę...

. . . .

„Sztuka dla sztuki!" Niedołęgi! Sztuka dla świata! dla sztuki świat!

Mówcie, co chcecie, obłudnicy! Gdyby zbrakło tego tłumu, którym gardzicie pozornie, żaden z was nie jąłby się pędzla, czy dłuta, czy pióra!

Jam szczery, i mówię wam ludzie: chcę duszami waszemi zawładnąć, chcę, by prąd natchnień moich przeszedł po nerwach ludzkości, by pierś jej rozgorzała poczętym w mej piersi ogniem, by serce jej w rytm mego tętna biło! Chcę być wzruszeń jej panem, władcą jej snów, jej czynów zwiastunem!

Ja z otchłannych głębin jej ducha dobędę to, co dla niej samej jeszcze tajemnicą, ja mgłom jej przeczuć kształt nadam boski! Z kałuży ziemskich ją wyniosę, i skrzydła jej dam!

Gdy powiem: śnij! — w upojeniu rozkoszy pochyli czoło senne, mgłami marzeń owiane.

Gdy powiem: wzleć! — rozwinie skrzydła, i pył meteorów złotych miotąc po drodze, pomknie ku słońcom... a gdy rzeknę słowo: giń! — marzeniem krwi i ofiary pijana, po śmierć piękną pójdzie radosna i śmiała!

Jeszcze chwilę! Jeszcze sił mi nabrać potrzeba, a potem w bój!

Ludzkości — kochanko moja, ty oddać mi się musisz!

Miłość moja młodzieńcza i silna. Nie pieścić cię będę, lecz rwać za sobą na gór wyżyny, w nieskończoność, w błękit!

. . . .

„Ciszo,” dziecię moje, pod sąd starców cię oddałem. Po dziewiczem ciele twem spojrzenia ich ślizgać się będą. Wystygłe ich dusze zapytają się, zkąd wzięłaś wdzięk swój, chłodne ich rozumy zanalizują melancholie twoje!

Gdy myślę o tem, kląć mi się chce i szarpać za włosy! Odkryłem im, dobrowolnie odkryłem, że w duszy mojej jest zakątek smutku pełen i tęsknoty, że jest wonny, zielony gaj wspomnień, błyszczący brylantami rosy. Może to nie rosa... łzy może?..

Gdy Ruskin brał mnie pod brodę, i patrzył w oczy, szukając w nich śladów tęsknoty za domem, ja, dziecko, nie płakałem wtedy, patrzyłem nań śmiało i jasno, choć ból-zwierz szarpał mi piersi.

A dziś czemu, czemu pokazałem mu to, co taiłem lat tyle?

Niechby wiedział, że miałem wiosnę, że miałem raj, z którego on wąż-kusiciel wywiódł mnie, i którego wrota zamknęły się za mną na wieki, ale niech nie wie, niech nie domyśla się, że po tem szczęściu chwilami dusza moja płacze.

Ha! skończone już?

Chodzę po równinie szerokiej jak step, jak step melancholijnej. Tu oddychać łatwiej; w mieście wytrzymać nie mogłem, dusiłem się. Powietrza, powietrza i przestrzeni! Niebo nademną jednostajne, szare... gdzieś tam na świecie błyszczy pewno słońce, gdzieś tam na świecie pioruny biją i huczy grom. Tu cisza, cisza i spokój... śmiertelny jakiś... Przyroda jakby czekała, i ja czekam, i słyszę uderzenia własnego serca.

W chmurach nademną wielki ptak jakiś się kołysze . kto on? gdzie pofrunie? czy w tamte strony, kędy słońce świeci, czy tam, gdzie biją pioruny?..

Świerszcze świerkają monotonnie... ciepło i cicho... zdaje mi się, że gdybym teraz wytężył wzrok, widziałbym daleko... daleko, poprzez ściany drewniane i kamienne... zdaje mi się, że gdybym ducha natężył, wiedziałbym *wszystko*. Na tym stepie stałem się *widunem*, jakąś potęgę jasnowidzenia czuję w sobie. Coś dziwnego zachodzi we mnie, jakby burzyły się, i wstawały ciemne, głębokie, zwykle milczące wody. Patrzę... nie oczami, patrzę jakąś siłą, która jest we mnie... nic jeszcze nie widzę, nic nie wiem... teraz... ha!

. . . .

Wolański wziął nagrodę! Ten osieł wziął nagrodę. Głos jakiś powtarza mi uparcie, krzyczy mi nad uchem te nieznośne słowa: Wolański wziął nagrodę!

Wczoraj szalałem, dziś myślę. Ruskin i jego klika dali nagrodę Wolańskiemu, i postąpili słusznie. Ja przyznać muszę, że postąpili słusznie. „Cisza“ Wolańskiego jest lepsza od mojej!

Zkąd on to wziął, zkąd on to wziął?

Nim powiedziano nam jeszcze, kto zwycięscą, stanąłem przed obrazem Wolańskiego, i skamieniałem. Tam była matka moja! Wpatrzona w blaski zachodzących zórz, siedziała na progu chaty z dzieciątkiem u łona. Rysy niezupełnie te same, wyidealizowane, ale wyraz, wyraz! Gdzie on zdobył ten wyraz ciszy i świętości, gdzie zdobyć go mógł ten... idyota, bo on jest idyotą bądź co bądź, bo ten obraz to coś niezrozumiałego, nadzwyczajnego, to nie jego pędzel, nie jego duch!

Jaka ona tam cudna, jaka czysta! To czoło jej, dum pełne prześnionych już, to czoło jak przezroczystego jeziora toń, te oczy łagodnem światłem miłości macierzyńskiej płonące, te jej oczy! To ona! Boże! Boże!..

Gdym stał przed tym obrazem, w duszy mojej zerwał się nagle ten płacz, płacz co pędził za mną przez śnieżne pola, płacz taki głośny, że głuszył wszystko, co dźwięczało dokoła. Podobno mówiono do mnie — nie słyszałem, podobno ktoś głupi zaczął mi winszować, myśląc, że to mój obraz — nie widziałem go.

Witałem sercem spojrzenie matki mojej, witałem ciszę wieczornych zórz... śniłem, że dzieciątko na ręku tej madonny, to ja, maleńki, senny, najszczęśliwszym ze snów, dzieciństwa snem kołysany.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Miriam.

Sonety.

II.

Niekiedy słońce z nieba w błotnistą kałużę
Lazurów ciśnie jasnych szmat jeden i drugi,
I zda ci się, że stoisz u kryształnej strugi,
Lub że cię w golfy kwietne zaniosły podróże.

Lecz z jam i tu wnet plemię wypełza jaszczurze,
Depce, mąci i kala światła modre smugi,
I koniec przesłonecznej marzeń twych żeglugi.
Gasną żary twych tęsknot, więdną snów twych róże.

To, co — bluźniąc ci, święte, wiekuiste Życie —
Zwie życiem tłum tonący w nikłych zdarzeń bycie,
Rozpiera się zwycięzko, lży, wyszydza, głuszy,

Głosy bijące ztamtąd, gdzie nic się nie zmienia,
Z zacielesnych, otchłannych pratajników duszy,
Z wieczystych źródlisk światła, z toni nieskończenia.

JEDEN Z NIEZNANYCH.

Wspomnienie.

— Widzi kochany pan, to dla mnie ćwiek prawdziwy w głowę taka sprawa. Człowiek radby z serca jak najlepiej, a tu ani weź, ani połóż—i to złe, i tamto jeszcze gorsze.

Bąknąłem coś pod nosem niewyraźnego, w rodzaju usprawiedliwienia, bo w istocie przykro mi było, że tyle osobą moją robię kłopotu poczciwcowi jakiemuś, który rad był jak najsumienniej wywiązać się z włożonego nań obowiązku. On tymczasem, prawie nie zważając na moją obecność, monologował w połowie do siebie, w połowie zwracając się do małżonki swojej, trzydziestoletniej typowej a sympatycznej bardzo wiejskiej gosposi, która mu przerywała gestem, ile razy ktoś ze służby, albo dziecko wchodziło do sali jadalnej.

— Bo powiedz sama, moja droga—ciągnął wśród przerw ciągłych pan Kazimierz, czterdziestoletni mniej więcej, o zawiesistym wąsie mosterdziej—co tu poradzić? Na folwarku—o tem mowy nawet niema, bo tam ja nie odpowiadam za nic; tu chyba w żadnym pokoju na dole, bo każdy z nich ma swoje „ale.“ Jeden zanadto na oczach, w drugim spokojności najmniejszej, bo za blizko dzieci; w pokoju znowu nieboszczyka twego ojca piec tak dymi, że byle naręcze drzewa wrzucić, to się w pięć minut zrobi ciemno niby w słodowni jakiej — jednem słowem „choć urżnij szyję,“ jak to mówią ludzie.

Jeszcze pochodził trochę dokoła stołu, szepcząc do siebie rozmaite urywane zdania, a w końcu zatrzymując się nagle przed żoną, bez której dorady nic się najwyraźniej w tym domu nie robiło, odezwał się tonem nieśmiałego napomknienia:

— A gdyby tak z Augustem?. co—jak ty myślisz?

Pani zaprotestowała ruchem głowy, spuszczając jednocześnie oczy, jak gdyby jej propozycya męża wydała się absurdem zupełnym, ale jemu ta myśl utkwiła w głowie jako trafna widać niezmiernie, bo nie zważając na opozycyę swojej rady przybocznej, coraz więcej korzyści upatrywać zaczął w tem umieszczeniu mnie z jakimś owym panem Augustem, o którym tak dobrze, jak i o reszcie mieszkańców Wólki nie słyszałem nigdy przed dniem dzisiejszym.

— Jak nie z Augustem, to ja już nie wiem co począć. Zresztą co ty w tem widzisz niewłaściwego, złego czy nieprzyzwoitego — ja nierozumiem doprawdy.

Pani domu, której projekt ten sprzeciwiał się wyraźnie, wyszła z pokoju ruszając lekko ramionami, co jednakże pana Kazimierza nie przekonało wcale, bo już po odejściu żony zwrócił się on do mnie z objaśnieniami.

— Kobiece uprzedzenia, panie szanowny— więcej nic! August chłopak był zawsze na pokaz każdemu, a że mu się z dopuszczenia Bozkiego coś zrobiło, to przecie nie wstyd i nie hańba żadna dla rodziny jeszcze. Mó-

wię „z dopuszczenia Bozkiego,” bo to panie szanowny, bez woli Bożej takie nieszczęście nieprzewidziane nie spada na człowieka nigdy. Zkąd?—Jakim sposobem? Ja przynajmniej o niczem podobnem nie słyszałem. Ale te kobiety, to zawsze swoje, a zawsze — dokończył ciszej nachylając się ku mnie — zawsze niemądrze. Że to, panie łaskawy, jej brat rodzony, więc jej to nie po sercu, że go ktoś takiego, jakim jest dzisiaj, oglądać będzie. Ano — cóż robić! Stało się! Chociaż ja tego nie mówię ale Pektorowicz, niby ten nasz doktór, bo to pan szanowny nie wiesz nic o tej naszej stronie, ale ten zawsze powiada, że on chyba jeszcze wyjdzie na ludzi. A w końcu co będzie to będzie, ale co się tycze tej wyjątkowo okoliczności, jak nie można inaczej, to co począć?

Kto był ów August — co mu się zrobiło, że go się tak sromała siostra, i że jak wnioskować mogłem, taki był niemożebny do pokazania ludziom, nie wiedziałem wcale, a prawdę rzekłszy, nie byłem nawet ciekawy dowiedzieć się wówczas. Czułem natomiast, że potrzebuję ponadwszystko spokojnego i bezpiecznego kąta, i że mię to momentalnie nadzwyczaj upokarza, iż staję się mimowolną przyczyną takiego zamięszania i kłopotu dla domu, któremu do chwili obecnej z nazwiska nawet znajomym nie byłem. Jakoś na moje, właśnie mozolnie układane w ład pewien usprawiedliwienia, weszła pani domu, a czy jej się mnie wśród tych niepewności żal zrobiło, czy dlatego że chciała poprostu te spory jak najprędzej zakończyć, dość, że zrzucając z siebie po kobiecemu prawdziwie odpowiedzialność za krok w jej mniemaniu nie właściwy zupełnie, zgodziła się milcząco z mężem na to, abym ja rezydencyę na facyatce w szczycie domu położonej, podzielił z tym panem Augustem, któremu, wedle wyrażenia jej małżonka, coś się przytrafiło przed niedawnym czasem.

Ponieważ byłem w wyjątkowy zupełnie sposób strudzony i wyczerpnięty, skorzystałem z pierwszej zrobionej mi propozycyi, i poszedłem za służącym, który mię krętemi, z przedpokoju prowadzącemi schodkami zaprowadził do tej jakiejś ubikacyi wskazanej przez panią domu, przyczem zauważyłem, że mu tam jeszcze jakieś dodatkowe instrukcye kładziono w uszy, co dlamnie, prawdę rzekłszy, zupełnie drugorzędne miało znaczenie. Są takie stany prostracyi fizycznej, i takiego zarazem krańcowego napięcia nerwów, że wszystko co nie jest samotnością, zejściem ludziom z oczu, ciszą i milczeniem bezwzględnem, przeraża, gniewa, albo obezwładnia. Ofiarą takiego nastroju czułem się i ja w tych chwilach dla mnie niezapomnianych, i dlatego czy mię ten osiwiały stary sługa domu prowadził do góry, czyby mi wybrał drogę do podziemi jakich, było dla mnie jednem i tem samem zupełnie.

Facyatka, wraz z przyległymi do niej dwoma kompartymentami, okazała się wielce charakterystyczną facyatą naszych dworków wiejskich. Nizka, widna, słoneczna, mająca szerokie perspektywy na trzy strony świata, zwróciła moją uwagę, i gdyby nie to właśnie, że była tak dostępną światłu, taką otwartą i wesołą a uśmiechniętą, byłbym się w niej uczuł bardziej może swobodnym i spokojniejszym. Taka, jaką znalazłem ją w tym dniu, oddziałała na mnie prawie przygniatająco.

Wrażenie ujemne odebrane na wstępie samym od rzeczy martwych, spotęgowało się o bardzo wiele przy pierwszem zetknięciu z istotą żywą, którą zastawałem tutaj, a z którą miałem dzielić tę samotnię do czasu... albo ja wiedziałem do jakiego czasu. Ani mnie, ani nikomu nie było to w owej chwili wiadomem.

Człowiekiem tedy, który mię spotkał na progu był mężczyzna lat nieokreślonych, wysoki, szczupły, mógłbym powiedzieć wychudzony, i jakgdyby strawiony cierpieniem jakiemś, którego natury domyśleć się na razie nie mogłem, nawet po uprzednich jego szwagra w sali jadalnej napomknieniach.

Przedstawiłem mu się tak jak mogłem i o ile mogłem, on ze swojej strony bąknął kilka słów obojętnych, ale odrazu poznałem, że rad mi nie jest, i że w dalszym ciągu skłonnym do zbliżeń się nie okaże, co w danych warunkach było mi zresztą dosyć nawet na rękę. Niemniej próbowałem nawiązać rozmowę jakąkolwiek, po szczeblach której mogłem był dojść do jakiego takiego wytłómaczenia mu, jakim okolicznościom zawdzięczał on nieprzyjemność mojej inwazyi, ale zbył to wszystko chłodnem przyjęciem do wiadomości, zatapiając się dla położenia kresu rozmowie, w jakiejś gazecie, którą trzymał w ręku, a którą inni z zajęciem pewnem mogli czytać przed kilku tygodniami, jak wskazywała data.

— Przepysznie obojętny ja jestem na twoją powagę i twoje boczenie się, mój panie, a ponieważ tobie podoba się studyować zapewne po raz któryś z kolei jeden i ten sam numer dziennika, pozwól że i ja poszukam satysfakcyi, której duch i ciało moje najmocniej pożądają. To pomyślawszy, poradziłem się starego sługi, azali właściwem byłoby objąć w niepodzielne posiadanie całą jedną stojącą pod ścianami sofę, a po otrzymaniu jego potakującej odpowiedzi, oddałem się spoczynkowi, który się do następnego poranku przedłużył.

Nazajutrz ten sam chłodek i to samo stronienie zauważyłem u owego pana Augusta, tylko ponieważ miałem dłuższą sposobność przyjrzenia się odludkowi, wykryłem na swoją rękę w tym człowieku, najwyraźniej nienormalnym umysłowo, jakąś nieufność szczególną, podejrzliwość — wogóle wrogie względem swoich i obcych usposobienie.

Na dół, jak mi służący mówił, nie schodził on prawie nigdy, pokoju nie opuszczał, a w tej samotności trawił czas nie wiadomo na czem, bo drzwi skrupulatnie od wewnątrz i szuflady wszystkie od biurka swojego zamykał, kładąc zawsze kluczyki pod poduszkę.

Manoman jakiś, zawyrokowałem ostatecznie, i to mi tylko było przykrem, że nie widziałem przed sobą określonego terminu, w którym nas los od siebie wzajemnie uwolni. Bo i co mnie zresztą, takiego jakim byłem podówczas, jeden jakiś maniak wykolejony mógł zajmować. Niechaj idzie sobie do szatana, skoro zwaryował nie w porę.

Jednego z dni następnych zapytała mnie pani domu:

— Cóż tam August? — nie przeszkadza panu?

Zaznaczyłem konieczność odwrotnego zapatrywania się na ten stosunek, a następnie wyraziwszy moje współczucie, zrobiłem kilka zapytań dotyczących stanu tego biedaka. Ona odpowiadała wymijająco, i dopiero mąż przyszedł jej w pomoc trochę i dał mi nieco wyjaśnień, które w istocie obudzić mogły interes w każdym.

— To, panie — mówił mój gospodarz—szczególny jakiś był wypadek, ale co było właściwie, nie wie nikt, i bodaj, że się nie dowie przed sądem ostatecznym, jeśli notabene przypadkiem jakimś on do siebie nie przyjdzie, i nie powie sam. Jemu, widzi pan kochany, przewróciło się w głowie, a przewróciło w sposób bardzo osobliwy. Wydaje mu się, że jest okradziony, o tem tylko mówi, gdy mówi, a nawet i pisze, bo przejęliśmy kilka jego listów pisanych do przyjaciół, a w szczególności do niejakiego Juljana Z. w Warszawie, człowieka bardzo porządnego, z którym on razem tam mieszkał. Zaklina go, żeby szukał tego, co wie... prosi, błaga. No, co począć, panie drogi, z nieszczęśliwcem, któremu raz wejdzie do głowy podobna fura siana.

— Bardzo dobrze, ale na jakiejże podstawie pan dobrodziej jesteś tak zupełnie przekonanym, że jemu w istocie nie zginęło nic — nic, dlań bardzo ważnego.

— Idźże ty człowieku z Bogiem, albo się przeżegnaj krzyżem świętym lepiej, bo widzę że przez te kilka dni i ciebie się już coś uczepiło. Jak widać takie tam powietrze jakieś na tej facyacie waszej. Co jemu miało zginąć? Funduszami administruję ja, a wiedzą Bóg i ludzie, że tam gdzie moja ręka, tam ład i sens musi być we wszystkiem. Procent pobierał, którego nie wydawał nigdy w całości, pomimo że ludziom świadczył, bo to trzeba panu wiedzieć, że to serdeczny był zawsze chłop, ten nasz Gucio od dziecka. Przytem kiedy się to już w Warszawie objawiło u niego zupełnym rozstrojem, i my musieliśmy jechać żeby go zabrać ze sobą, znaleźliśmy rachunki w porządku i znaczną jak na niego kwotę pieniędzy. Co jemu zginąć mogło? Nic nie zginęło.

— Jak mówią o tem jego koledzy i przyjaciele w Warszawie?

— Oprócz tego Juliana nie mówiłem z nikim, a tamten—cóż? on go żałuje bardzo, ale widzi w tem wszystkiem nieszczęście — nic więcej.

— Cóż robił? czem się zajmował?

— Otóż to i bieda chyba ztąd wyszła. Żeby jemu była w głowie ćwiekiem nie utkwiła ta jego manja autorska, może nie byłoby całego nieszczęścia. Ale on dnie i noce spędzał nad tym papierem zadyablonym, no i dał mu szczęście, biedakowi, ten papier.

— Wydawał co? drukował?

— Et! Pożal się Boże! Sama chęć zabrania się do tego zdradzała już chyba pewną anormalność, bo co, proszę pana, chłopakowi majętnemu, urodziwemu, jak mało kto, bawić się było w gryzmołę.

— Widzisz Kaziu, nie można znowu tak mówić, bo to zupełnie jakgdyby on nieszczęśliwym był z urodzenia. Ty bo nie masz dla niego pobłażania żadnego, taki jesteś bezwzględny.

Otarła oczy i wyszła z pokoju.

— A opinja lekarzy?

— Eh, o tem, toby także było dużo gadać. Lekarze, jak lekarze, panie kochany. Warszawscy kiwali mądrze głowami, nazywali to różnymi terminami łacińskimi, i skończyli na tem, żeby go zamknąć w domu waryatów. No, na to kobiecisko moje zgodzić się nie mogło, a ja jej tego nie ganię, bo w istocie ktoby go tam wpakował, toby go był dokończył na pewno. A tutejszy, ten Pektorowicz, o którym panu mówiłem, toć on go widuje co tydzień, albo i dwa razy w tygodniu. Za straconego zupełnie go niby nie ma, ale chrzci ten jego stan nazwiskiem monomanii; tłómaczy, że pod wpływem myśli, która zawładnęła nim całym, nagle—powiada — naruszyła się równowaga, i na tym punkcie zawiesił mózg swoje czynności. Zegar stanął.

— A więc niedopuszczasz pan, jako sprężyny, nic z tego co on sam opowiada? — wszystko jest uwidzeniem?

— A rozumie się! To niema powodu nawet wątpić, że tak jest. Zresztą, co to panie taki człowiek, co się raz rzuci na pisanie bajd jakichś, które nigdy nie miały miejsca. To panie, człowiek stracony. U niego wszystko możebne. Jednem słowem stało się nieszczęście. Ja to tam żonie nie kraczę złej wróżby, bo się kobiecisko biedne i tak już zanadto namartwiło tym straceńcem, ale że on stracony, to jabym rękę w ogień włożył za to.

Tydzień nie ubiegł cały po tej rozmowie naszej, a ja żegnałem Wólkę poczciwą na zawsze, przynajmniej tak mi się wydawało podówczas; żegnałem tych ludzi dobrych ze szczerem uczuciem wdzięczności w sercu, i tylko ów posępny cień tam na górze, niby chmura czarna, majaczył w moich wspomnieniach ponad całem cichem istnieniem tej rodziny.

(Dokończenie nastąpi).

Sprawozdania literackie.

Edmond Rostand: Cyrano de Bergerac.

W epoce dekadentyzmu, w epoce kwiatów wpółzwiędłych, wybladłych, chorobliwych i smutnych kwiatów grzechu, ukazał się kwiat świeży, pociągający zdrowym połyskiem, orzeźwiający wonią. Tłumy zbiegły się dokoła, podziwiając wdzięk i świeżość jego.

Widocznie gust całego ogółu, a zwłaszcza we Francyi nie idzie w kierunku wytkniętym przez Beaudelaire'a, Verlaine'a, Mallarmé'a, Richepin'a i t. d., i t. d.

Utworami dekadentów lubuje się tylko garść inteligencyi przeczulonej i wyrafinowanej umysłowo. Ogół kocha Dumas'a ojca i bohaterów à la Dumas. Ale bo też trudno odmówić prawa obywatelstwa w dziedzinie sztuki pierwiastkom takim, jak szlachetność, rycerskie poczucie honoru, entuzyazm, odwaga, werwa. Z tych pierwiastków złożył Rostand swego bohatera Cyrano de Bergerac, i Cyrano jest postacią niezaprzeczenie piękną. To Dumasowski d'Artagnan, ale etyczniejszy od pierwowzoru, to dusza kryjąca pod osłoną lekkiego dowcipu, czysto francuskiej werwy i brawury gaskońskiej, liryzm szczery, rzewny, tkliwość i subtelność kobiecą.

Osnowę dramatu czy komedyi opowiedzieć można w krótkości. De Bergerac, poeta i żołnierz, z pochodzenia gaskończyk, służy w gaskońskim pułku kadetów kapitana Carbon de Castel Jaloux.

Wszystkich ich wydało południe Francyi, słoneczny kraj, ojczyzna ludzi o tak wybujałej wyobraźni, że każdy z nich urodzonym jest poetą lub kłamcą urodzonym.

Bergerac liczy się do pierwszych. Dumny jest, kocha swobodę, niezależność, piękno, brzydzi się podłością, głupotą i tchórzostwem. Jest w nim dużo próżności gaskońskiej, a właściwie ogólnie francuzkiej, ale ten rys tem milszym musi czynić go Francuzom.

Bohater ten kocha się w kuzynce swojej Magdalenie Robin, wytwornej „precieuse," przezwanej romansowo Roksaną. Miłości tej nie śmie wyjawić jej, ponieważ matka-natura uczyniła go niezwykle, niepospolicie brzydkim, i obdarzyła nosem, który—jak sam powiada—poprzedza go o kwadrans drogi. Cyrano nie chce wyznaniem miłości ośmieszyć się w oczach wykwintnej, rozmiłowanej we wszelakim pięknie, panny. Roksanie wpada w oko piękny jak marzenie, świeżo przybyły z prowincyi kadet, Krystyan de Neuvilette. Nie zna go jeszcze, widziała tylko w teatrze, i przekonaną jest, że z taką urodą łączyć się musi i inteligencya niepospolita, i dar słowa, który ona, jako „precieuse," ceni nadewszystko.

Z miłości swej zwierza się kuzynowi, prosi go by wziął w opiekę uroczego młodziana, by czuwał nad nim, strzegł od przygody. Cyrano obiecuje. „A gdyby ten chłopiec okazał się głupcem skończonym, równie niedowcipnym jak pięknym" — pyta. „Umarłabym z żalu"—odpowiada Roksana.

Cyrano dotrzymuje słowa. W rywalu widzi brata; jako wielbiciel piękna, sam do pewnego stopnia ulega czarowi jego urody. Ale Krystyan rzeczywiście orłem nie jest, a przynajmniej o miłości mówić nie umie, nie umie tworzyć eleganckich, dowcipnych porównań, nie jest mistrzem w subtelnej grze słów, tak ulubionej przez ówczesne „precieuses."

Roksana doznałaby wkrótce rozczarowania, gdyby nie pomoc Bergerac'a. On pięknym ustom Krystyana podsuwa słowa, najgorętsze i najdowcipniejsze słówka, on za niego pisuje listy, arcydzieła stylu, werwy i zapału. Robi to nietylko dlatego, żeby ukochanej oszczędzić smutków zawodu; on sam doznaje niezmiernej rozkoszy mogąc choć w cudzem imieniu wypowiadać jej to, co czuje jego serce.

Chwilami — utrzymuje Roksana — muzy opuszczają jej kochanka, staje się małomównym, niezręcznym, pospolitym. To są chwile, na które Bergerac nie zdążył przygotować go odpowiednio.

Najefektowniejszą w tym rodzaju jest scena balkonowa. W piękny wieczór majowy Krystyan i Cyrano są pod balkonem Roksany. Cyrano podpowiada, Krystyan powtarza. Wreszcie Bergerac zaczyna mówić sam. Roksana nie poznaje głosu, sądzi, że w dalszym ciągu rozmawia z kochankiem. Bergerac mówi o miłości; odrzucił tym razem na bok dowcip, zgrabne „bon mots," jest szczery, prosty, wzruszający.

Piękna kobieta porwana urokiem jego rozmowy drży z miłości, z uniesienia. Wtedy występuje Krystyan, i żąda pocałunku. Roksana zgadza się. Po pocałunek spieszy głupi, ale piękny chłopiec, brzydki poeta pociesza się myślą, że ona właściwie nie usta Krystyana, ale słowa jego, Bergeraca, całuje.

Sytuacyę i tak dosyć zawikłaną, komplikuje wystąpieniem swojem hr. de Guiche, wróg Bergerac'a, dowódzca armii. Zakochany oddawna w Roksanie, przed wyprawą wojenną do Flandryi zapowiada jej listem wysłanym przez Kapucyna, swoją wizytę. Roksana zagrożona natarczywością hrabiego i wyjazdem kochanka, który także z pułkiem swoim na wyprawę tę ruszyć będzie musiał, zręcznym podstępem nakłania Kapucyna do dania jej natychmiast ślubu z Krystyanem de Neuvillette. Za kwadrans ma nadejść hrabia. Bergerac staje na straży przed domem udając waryata. Niepoznany w ciemności, usiłuje jaknajdłużej przytrzymać hrabiego. Jest to scena niezrównana pod względem humoru. Nadaremnie chciałoby się opowiedzieć ją. Potrzeba przeczytać to w oryginale.

Gdy wreszcie ślub już prawdopodobnie dokonany został, Bergerac daje się poznać hrabiemu. Jednocześnie ukazuje się Roksana prowadzona pod rękę przez Neuvilletta. Zdumienie hrabiego jest bezgraniczne, ale pułk gaskończyków musi natychmiast wyruszyć w drogę. Jest to zemsta zawiedzionego de Guiche'a.

Oblężenie Arras ciągnie się długo. Wojska francuskie otoczone przez Hiszpanów cierpią głód. Na najdotkliwsze próby wystawiony jest pułk gaskończyków, w którym de Guiche liczy dwu zdecydowanych wrogów i wszystkich niechętnych. Nadchodzi chwila stanowczej rozprawy; najniebezpieczniejsze stanowisko otrzymują gaskończycy. Na godzinę przed bitwą najniespodzianiej zjawia się Roksana. Namiętne listy, które nawet bez wiedzy Krystyana, Bergerac posyłał do niej dwa razy dziennie, tak podziałały na wyobraźnię i nerwy egzaltowanej kobiety, że przezwyciężywszy wszelkie przeszkody i niebezpieczeństwa, przybyła powiedzieć mężowi, że teraz dopiero kocha go naprawdę, bo teraz kocha nie urodę jego, lecz jego duszę, którą objawił jej w tych cudnych, poetycznych, namiętnych listach, że teraz choćby zbrzydł zupełnie, ona nigdy kochać go nie przestanie. Domyślać się można, że podobne wyznanie nie mogło sprawić wielkiej przyjemności fałszywemu autorowi listów, tembardziej, że nareszcie przejrzał, zrozumiał, że to nietylko poetycka wena była Bergerac'owi bodźcem do wypowiadania pięknych tyrad o miłości, do pisania tych pięknych listów i wysyłania ich z narażeniem życia. Słowa Roksany powtarza Bergerac'owi, zachęca go by wyjawił prawdę. Niech Roksana sama wybiera pomiędzy nimi.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Zapisy.

Rząd gubernialny Radomski podaje do wiadomości publicznej, iż zmarły w dniu 15 Maja 1897 r. administrator parafii Iłżeckiej ś. p. ksiądz Franciszek Brzozowski, rozporządzeniem swojem testamentowem przeznaczył: 1) dla katedry w Sandomierzu rs. 1,100—2) dla kościoła parafialnego św. Ducha w Staszowie rs. 1,000—3) na konserwacyę cmentarza katolickiego w Radomiu rs. 1,000—4) na rzecz przytułków w Radomiu i Staszowie sumę rs. 10,500 zostającą pod dożywociem Zofii z Pilnickich Kruszewskiej, a zahipotekowaną na dobrach Firlej w gub. Radomskiej, której odsetki po ekspiracyi dożywocia obracane będą na rzecz obu wymienionych powyżej dobroczynnych instytucyj.

Zapis powyższy po strąceniu zeń wedle przepisu prawa ¼ części na rzecz kościoła w Ciepielowie, gdzie ś. p. ks. Brzozowski był proboszczem, uzyskał już zatwierdzenie władz właściwych.

Sprawy miejskie.

Ponieważ przekonani jesteśmy, że czytelników naszych zajmuje żywo wszystko co daje obraz rozwoju u nas uzdolnień i talentów, podajemy poniżej rezultat konkursu międzynarodowego, ogłoszonego na projekt budowy hotelu przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Karowej. Otóż sąd złożony z powszechnie znanych architektów naszych pp. Józefa Dziekońskiego, Edwarda Lilpopa, Kazimierza Lowe i Stefana Szyllera, oraz z reprezentantów spółki kapitalistów: pp. Władysława Rawicza, Kazimierza Budnego i Tadeusza Jentysa przyznał za najlepsze z prac nadesłanych konkursowi 2 nagrody:

I-szą za prace pod godłem: „Ta trzecia" panom Tadeuszowi Stryjeńskiemu i Franciszkowi Mączyńskiemu budowniczym z Krakowa, w ilości rs 2,000

II-gą otrzymał za projekt pod godłem: „1/XI 1898" p. D. Sander budowniczy z Łodzi, w kwocie rs. 1,000.

Oprócz tego wyróżniono prace noszące godła: „Meteor" — „Syrena" — „Trójkąt w kole" — „Mit bestem Gruss." Wszystkie razem nagrodzone i odznaczone projekty będzie mogła wkrótce oglądać publiczność nasza, za drobną opłatą na dobroczynność.

O umeblowaniu pokoi.

(Dokończenie.)

Boki w takim razie mają rzeźbione piękne kolumny, z strojną u góry galeryą. Kącik taki na zywa się: ingle nook. W drugim rogu salonu naprzeciw kominka jest drugi narożnik przybrany, zwany „cosey corner. Wyściełane dwie ławki schodzą się w kącie, poręcze ich wysokie, wyściełane, oparte o ścianę. Na poręczach umieszcza się rodzaj galeryi misternie z drzewa wykonanej — pełnej zagłębień i skrytek, która to galerya w samym narożniku podnosi się i tworzy jakby szafeczkę lub niszę. Tam się zwykle stawia piękną figurę, biust lub szerokolistną roślinę. Na galeryi samej w pluszowych ramkach stoją obrazki lub fotografie. Końce ławek przedłużają ścianki z lekkich prątków, lekko zataczające półkole. Prątki te pokryte bywają draperyami z pluszu lub materyi.

Sypialnia tak samo jak inne pokoje, ma ściany do połowy wyłożone drzewem, wszystkie szafy, komody, toaleta, umywalnia, w tem się znajdują. Kolor tego obicia wraz z kominkiem jest jasny, zielony lub biały, lakierowany, bez żadnych ozdób, chyba z złotą obwódką u góry. W obiciu tem oprócz sprzętów wymienionych, znów są skrytki, półki, szafeczki, pozasuwane firaneczkami jedwabnemi w kolorach: olive, saumon, terracotta.

Przybory do mycia ciężkie, wyrabiane z krajowej gliny polewanej, zielone lub blado-niebieskie. Łóżka w sypialni metalowe, z ciężkich prętów mosiężnych, bez firanek i kotar. Jasne w wielkie desenie perkale zwieszają się u okien, tak jak i materye w duże bukiety pokrywają meble.

U ludzi bogatych jest jeszcze pokój myśliwski w stylu arabsko-maurytańskim; pokój do palenia w stylu indyjskim „hindoo-style," oranżerya i sala bilardowa.

Niepodobna, mówiąc o wszystkiem, nie wspomnieć o wykwincie pokoi gospodarczych; każde zajęcie ma tam osobno przeznaczone miejsce. Czyszczenie obówia zwykło się u nas odbywać w kuchni; Angielka załamałaby ręce ze zgrozy—u nich bowiem do tego osobny przeznaczono pokój.

Nie tak łatwo zmiany zaprowadzają się w świecie, to też lata i lata przeminą zanim się i u nas gust wyrobi; może przyszła wystawa Paryzka zachęci nowymi pomysłami—toć ztamtąd do Polski droga najprostsza i najkrótsza. Bo co Francuz wymyśli, to Polak polubi—mówi Mickiewicz.

Czytając powyższy opis, niejedna z pań pomyśli, iż nie każdy jest w możności reformować co lat parę mieszkanie, sprowadzać meble z zagranicy. Mając trochę poczucia estetycznego ileż to rzeczy ładnych obmyślić można, a często takie nieszablonowe urządzenie ma najwięcej uroku, bo nie jest pospolitem. Widziałam np. we Francyi salonik tak pięknie wyglądający, że mi dotąd wrażenie po nim miłe zostało. Nie było tam owych wypłowiałych obić, pstrej chińszczyzny, pozakrywanych okien gęstemi storami Ściany pokryte były tapetą jasną w duże pąsowe kielichy kwiatowe, posadzkę całą zaściełał kobierzec pąsowy w duże kielichy lilii białych; meble były pąsowe aksamitne najzwyczajniejsze; takich się u nas pełno spotyka. U okien firanki tiulowe obfitemi fałdami spadały ku ziemi, ujęte w miejscu odpowiedniem wstęgami atłasowemi w pąsowym kolorze; kilka etażerek z czarnej laki, dwie małe lakierowane czarne szafeczki na książki, zasunięte pąsowemi zasłonkami, za szkłem; nie umiem opisać efektu, jaki ten salonik wywierał przy oświetleniu elektrycznem wiszącego na środku żyrandolu. Humor był tam lepszy i taka miła cieplem przesycona atmosfera, a jak pięknie na tle tem pąsowem rysowały się sylwetki kobiet!

Nie wymieniając specyalnie koloru, w jakim meble być powinny dobierane, gdyż to rzecz osobistego upodobania, radzić tylko mogę, czy to w wielkim wykwintnym salonie, czy małym skromnym saloniku, używać kwiatów dużo, rzecz to przy pewnej staranności tak nie kosztowna, a tak wdzięcznie dekorująca pokoje. Zimą wśród liściastych krzewów w salonie doniczki z hyacyntami, azalie, ileż świeżości dodają. Radzę czytelniczkom także, by latem zaopatrzyły się w piękne liście paproci, śliczna ta roślina przyniesiona z lasu, doskonale się w wazonikach chowa, trzeba tylko przesadzać także w ziemię leśną, polewać codziennie i trzymać w cieniu. Dlatego to właśnie dobra do ubrania salonu, a długie pierzaste liście, o pięknej zieleni dużo wdzięku pokojowi nadają.

Mówiąc o salonie, niepodobna prawie nie wspomnieć o sali jadalnej; jest to kłopot każdej młodej gospodyni, gdy raut lub wieczorek tańcujący wypadnie—jak stół ubrać.

Otóż nakrycie stołu najładniejsze gdy jest lśniąco białe, i znowu kwiaty, wszakże tu nadmiar psułby harmonię. Na stole główne miejsce zająć powinny srebra i zastawa. Wszelkie bukiety zasłaniające vis à vis utrudniają rozmowę. Owe kryształowe przyrządy angielskie do kwiatów wychodzą z mody; za to widzieliśmy małe łykowe koszyczki w kwiaty plecione, wyłożone pluszem zielonym, wypełnione różami żółtemi i bladoróżowemi. Porą zimową gdy o róże trudno, można innymi kwiatami koszyczki wypełnić. Tym samym pluszem można stół przybrać wzdłuż. Na przygotowanym w ten sposób, w odstępach stawiają się srebrne zastawy z owocami, torty, ciasto. Wina w kryształowych karafkach.

Podług zwyczaju przyjętego we Francyi, widelec kładzie się po lewej stronie nakrycia, nóż i łyżka po prawej. Szklanki i kieliszki na dawnem miejscu. Serwety już się nie składają w kunsztowne zgięcia, ale złożone w pół, spoczywają na talerzu przewiązane wstążką z założonym za nią świeżym kwiatem. Wstążkę dobiera się w tonie dekoracyi stołu, można na jej brzegach wymalować monogram gościa, dla którego miejsce przeznaczone.

Dla osób goniących za nowościami i oryginalnością dodamy, że najnowszą rzeczą jest stół wcale nie nakryty; jednolita płyta pokrywa się pięknym chemin de table, przybranym w kwiaty; ale do tego rodzaju nakrycia stół musi być z pięknego kosztownego drzewa. Serwis dobiera się w odpowiednim kolorze. Do stołu z drzewa orzechowego serwis musi być koloru ivoire, zastawa srebrna. Do dębu serwis koloru cebulowego, zastawa cuivre poli. Stół hebanowy powinien mieć serwis różowy—nawet szkło powinno mieć cień odpowiedni.

Wszakże myślę, że nasze panie wybiorą zawsze kwiaty; takie świeże i strojne, nadają się do każdego domu, każdego umeblowania.

A. Z. K.

Wskazówki i rady.

Pyszna legumina z makaronu.

Zrobić na 6 osób makaron zwykłym sposobem z pół funta mąki i 3 jaj, wałkując go jak najcieniej, a następnie krająć jak włos cienko i niezbyt długiemi nitkami. Rozsypać go jak najcieńszą warstwą na blachę i wstawić w gorący piec do zrumienienia na kolor rumianej bułki. Mieć zrobioną marmoladę morelową lub z głogu, wysmarować rondel młodem masłem, grubo wysypać mąką lub bułką tartą, co jedno znaczy, położyć warstwę makaronu, na to warstwę marmolady i znowu warstwę makaronu i warstwę marmelady. Takich warstw powinno być trzy, nic nie upychając. Gdy zupa na stole, wstawić rondel na 10 do 15 minut dla rozgrzania w piec, a gdy się ma podawać, wyrzucić na półmisek i bardzo suto posypać cukrem z cynamonem. Oddzielnie jeszcze podać cukier do posypania na talerzu. Legumina taka ma śliczny oryginalny wygląd i smak wyborny. Można ją przekładać także marmeladą z kwaśnych jabłek z cukrem, kładąc na 6 średnich jabłek łyżkę młodego masła. Ta marmelada nie powinna być zbyt gęsta a bardzo słodka, ale daleko lepsza jest z moreli.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

NOWO OTWORZONY
MAGAZYN BŁAWATNY
STEFANA ZŁOTNICKIEGO
Krakowskie-Przedmieście 64.
(Gmach resursy Obywatelskie)
otrzymał 971—8—8
NOWOŚCI
Wełn krajowych i zagranicznych
w najnowszych deseniach i kolorach.

Niebywały wybór wełn czarnych
Wełny kolor. podw. szer. od 25 k. do 2 rs.— Wełny czarne od 30 k. do 3 rs. — Wełny balowe od 25 k. do 1,50. — Kanausy od 60 k. — Fulary po 40 k. — Wełny mund. od 45 kop. — Pokrycia na futra $2^1/_2$ szer. od 75 kop. do 3,50 rs. — Plusze, Welwety krajowe i angielskie, Barchany, Firanki od 12 kop., Chustki od 2 rs. do 15 rs. Perkale, Półpłótna i Podszewki.
Kontentuje się małym zyskiem.
Sprzedaję Najtaniej.

DOM HANDLOWY
Sprzedaży gotowej garderoby męskiej, posiadający swobodne i obszerne pomieszczenie na jednej z lepszych handlowych ulic Moskwy
proponuje
F.P. handlującym
Zwierzchniemi Okryciami Damskiemi
powierzenie mu reprezentacyi zbytu przedmiotów **konfekcyi damskiej**, komis i t d. co uwarunkowywanę być może drogą porozumienia się. Na towary oddane w komis — gwarancya!
Interesowani adresować raczą sub:
„**MOSKWA 1898**" do domu handlowego
L. i E. METCL & C° w Moskwie
1015-2-1

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.


PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15 30 i 50.
Główny Skład Solna № 9.
947—25—7

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✤ **ROBERT WILCZYŃSKI**
810—50—42 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

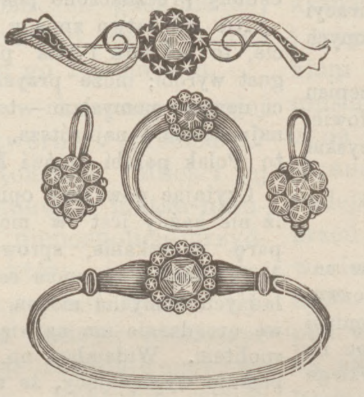
SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH ***Marszałkowska 136 róg Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.***
916—25—20

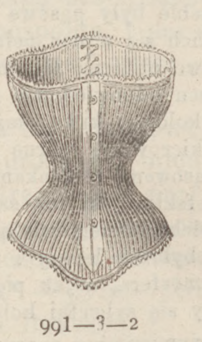
Wydawnictwo ***GEBTHNERA i WOLFFA*** w Warszawie.
Wyszła z druku
HISTORYA LITERATURY POWSZECHNEJ
przez **Walerego Gostomskiego.**
2 duże tomy, str. 393 i 727. — Cena rs. 5, z przesyłką rs. 6.
W oprawie Rs. 6, w czdobniejszej Rs. 6, 50.

„Historya Literatury Powszechnej" opracowana na podstawie najlepszych i najnowszych źródeł oraz **studyów samodzielnych**, zawiera bogaty **materyał informacyjny** co do faktów, dzieł i osobistości pisarzy; **ogólną charakterystykę** najgłówniejszych prądów i wpływów, które urabiały i odznaczały dane epoki literackie i przedstawia **dokładny obraz literatury wszystkich ludów cywilizowanych,** od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej. 1007-3-3

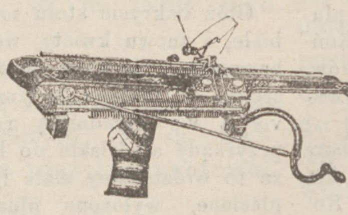
„KURYER CODZIENNY"
pod redakcyą STANISŁAWA LIBICKIEGO.
przy udziale Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa). Piotra Chmielowskiego, Stanisława Szczutowskiego Edwarda Lubowskiego, Juliusza. Stattlera. Eligiusza Niewiadomskiego, Jana Barszczewskiego, Ignacego Balińskiego, Władysława Umińskiego i wielu innych.—Posiadając **stałych korespondentów** we wszystkich znaczniejszych miastach europejskich „KURYER CODZIENNY" informuje szybko o każdym donioślejszym wypadku.
W odcinku drukować będzie ***wybitniejsze utwory*** naszych powieściopisarzy, a w **dodatku tygodniowym** pomieszczać będzie tylko ***wyborowe utwory*** autorów zagranicznych.
Dodatek bezpłatny
otrzymają prenumeratowie
1013-2-1
WYBÓR PISM
JULJUSZA SŁOWACKIEGO
w 4-ch obszernych tomach.
Z końcem każdego kwartału prenumeratorzy otrzymują **JEDEN TOM**
bez żadnej dopłaty.
Prenumeratorowie prowincyonalni nie ponoszą żadnych kosztów przesyłki.
Cena Kuryera w Warszawie i Łodzi: miesięcznie kop 50, kwartalnie rs. 1.50, półrocznie rs. 3, rocznie rs. 6, Z przesyłką pocztową kwartalnie. rs 2.25, półrocznie rs. 4,50, rocznie rs. 9.
Wydawcy: **GEBETHNER i WOLFF.**

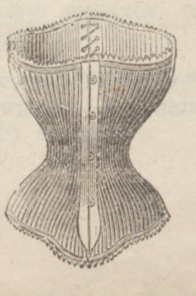
!! ARCYDZIEŁO TECHNIKI !!
KOMPLETNE WYDANIE DZIEŁ (4 tomy)
ADAMA MCKIEWICZA
W BRELOKU DO ZEGARKA?!
Lupa osadzona w breloku ułatwia czytanie tekstu.
Książeczka w eleganckim metalowym breloku rs. 2. w srebrnym 84 próby, pozłacanym lub oksydowanym breloku rs. 5 w breloku złotym 56 próby rs. 25; Na życzenie monogram lub herb srebrny, za dopłatą 2 rs. 56 k. — złoty 5 rs. Za przesyłkę w Rosyi Europ. 25 k. w Azjatyckiej 50 k. 6-ść sztuk franco 965-11-9
Wydawca M. Szolc. **Warszawa Nowy Świat 56.**
Do nabycia w księgarniach—większych magazynach jubilerskich—i materjałów piśmiennych


Elegancki złoty garnitur
56-ej próby.
Bransoletę, pierścień, i parę kolczyków, osypanych dokoła amerykań. imitacyjnemi brylantami nieodróżniającemi się ogniem od prawdziwych, po środku imitacja **ametyst, szafir, rubin, szmaragd, topaz** lub **turkus**, jestem w możności sprzedawać, dzięki wielkiemu zbytowi, zamiast po **18** i **20** rs.
tylko za 12 i 15 rub.
Z takąż samą zaś broszką o 3 r. 50 kop. drożej.
Wysyłam w elganckiem atłasowem pudełku (etui) po otrzymaniu 2 rs. zadatku.
Adres: ***M. GOLDENBERG*** *Warszawa.*
Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-16


PRACOWNIA GORSETÓW I WYROBÓW POŃCZOSZNICZYCH
HELENY K.
pod firmą
M-me ANNA
Marszałkowska 84, między Żórawią a Wspólną.
Nagrodzona na Wystawie Pracy Kobiet za Gorsety Hygieniczne
Listem Pochwalnym.
Wyrabia oprócz fiszbinowych gorsety hygieniczne nieznane dotąd w kraju ze sprężynkami angielskiemi nigdy się nie łamiącemi, a bardzo miękkiemi i doskonale utrzymującemi figurę. Gorsety do konnej jazdy, leniuszki, gorseciki dla panienek nie tamujące ich rozrostu. Posiada wszelkie wyroby pończosznicze, przyjmuje nadrabianie pończoch.
991—3—2

GEBETHNER i WOLFF
17. Krakowskie-Przedmieście 17.
864 50—29 **NAJWIĘKSZY W KRAJU**
Skład Pianin  *Fortepianów i Organów*
WYNAJEM. Sprzedaż na raty.


Maszyny Pończosznicze
znanej marki **„The Berg Machine"** za gotówkę i na rozpłatę 985A-26-5
JULJAN BERG
Mazowiecka 16.


KAZIMIERA WINER
Nr. 3, Królewska Nr. 3, w Warszawie,
(drugi dom od Krakowskiego-Przedmieścia).
Poleca wielki wybór **Gorsetów** po cenach bardzo przystępnych, zacząwszy od **rs. 2 do rs. 30**, odstępuje znaczny rabat dla **pań Nauczycielek, Pensyonarek** i wogóle **Pań pracujących.** Jako specyalność **Gorsety hygieniczne, Gorsety dla ułomnych** i szelki do prostego trzymania się.
Z prowincyi przyjmuje zamówienia i wysyła za zaliczeniem pocztowem.
984—6—4

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Ноября 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Ksiądz widocznie nie chciał odpowiadać na przerwy i prawił dalej:

— Wzięto się do dzieła — i szczerze; proszę mi wierzyć. Urzeczywistnienie zamiaru obiecywało pomyślne skutki dla wielu znakomitych osób i dla Kościoła. Uderzono do rodziców...

— Któż taki? Dlaczegoż ja, główny przedmiot zachodów, o niczem dotąd nie wiedziałem?

— Kto!... przyjaciele; dość na tem; przyjaciele, którym, stosownie do poleceń z Wiednia, nie chodziło o przedwczesne zawiadamianie pana grafa, ale o czynną pomoc, o przygotowanie mu dzieła. Tu, muszę wyznać, że pomimo usilnych starań, zabiegi brały niepomyślny obrót. Istotna atoli przyczyna niepowodzenia nie mogła długo pozostać w ukryciu. Wyjaśnił ją jeden z domowników rodziny. Sokolnik spłacał długo pieniędzmi Piotra Poraja. W zamian za żywotną przysługę zobowiązywał się wydać córkę za młodszego brata swego wybawcy.

— Za Poraja mówisz, ojcze prowincyale?... słyszałem to nazwisko; ba, nawet jego samego musiałem wczora spotkać u Sokolnika. Przezorny kupiec! nie będzie miał prawa skarżyć się, że go oszukano. Z otwartemi oczami targuje, przez cały wieczór z blizka towar opatrywał.

— Mnożyły się zawady — ciągnął duchowny—z każdym dniem wstawały trudności nowe, coraz cięższe do zwalczenia. Popleczniсy pana grafa niechcieli ustąpić z pola, niezużywszy wprzódy ostatnich środków. Sprawa przybierała inną postać, nieporównanie więcej zawikłaną. Chodziło o zerwanie szalonych zobowiązań, niepozbawiając wszakże Sokolnika zdobytych korzyści. Inaczej, dzieło niewarte było zachodu. Pan graf niebyłbyś chciał żenić się z nieskończonym szkaplerzem procesów za cały posag. Ułożono plan, napomknięto o nim zlekka Sokolnikowi, ale magnat cierpko zbył ludzi, którzy okazywali się troskliwszymi, niż on sam, o własne jego dobro i godność.

— Jakże się tłumaczył?

— Zamilczał; nie dał wyjaśnienia. Widno nie mógł przebaczyć odmowy, jakiej, przed niedawnymi czasy doznał był od tychże samych ludzi, gdy żądał od nich przysługi, wyświadczonej mu dziś przez Poraja w zamian za bratowę. Nic dziwnego! zamiana nie wszystkim przedstawiała też same dogodności. Zostawała hrabina—zacna kobieta, uległa służebnica kościoła.

Horribile dictu! Szatan snać w tym domu obrał siedlisko.

Hrabina, dręczona dotąd ciągłą niespokojnością o pośmiertny los duszy, nagle straciła niebo z oczu, stanęła po stronie tego, który zbawiał jej życie doczesne, odepchnęła tych, którzy mogli zabezpieczyć jej żywot wieczny.

— Hm! zaczynam lękać się o duszę hrabiny—wtrącił poważnie szambelan.—Nie ręczę za innych, ale przyrzekam za siebie, że na ostatecznym sądzie pierwszy wystąpię przeciw niej z oskarżeniem.

Ojciec Zefiryn uśmiechnął się.

— Rad jestem—mówił—że pan graf spokojnem sercem przyjmujesz pociski losu. Wyborowe charaktery próbują się w przeciwnościach. Człowiek o tyle wart, o ile umie zwyciężać w sobie lub nazewnątrz siebie.

— Cóż chcesz, ojcze prowincyale, abym uczynił? Mamże rozpłynąć się w potoku łez—echom okolicy, jak strapiony Korydon, powierzać me skargi na niewdzięczność Chloi, lub może w donkiszockim zapale pokusić się o głowę mego spółzalotnika?... Są to piękne rzeczy ale męczące.

— Broń nas, Jezu, od złej myśli!—odparł zakonnik. — Pan graf miałbyś mierzyć się z człowiekiem bez żadnej przyszłości, wystawiać na zatratę duszę i ciało, gwałcić jeden z najświętszych bożych przykazów dla zadośćuczynienia dyabelskim podszeptom miłości lub zemsty?... Nie, nie, zostawmy podobne wybryki tym, którzy nieużyteczni na ziemi, zawczasu żer dla piekła gotują. Wreszcie między nami mówiąc, co za ludzie oba Poraje? Starszy spędził życie w bezbożnych targach, w pogoniach za zyskiem, z którego na ołtarz Boży okruchy nawet nie spadły. Młodszy za granicą, wiemy to od naszych braci we Włoszech, młodszy żył z ludźmi odsądzonymi od czci i od wiary; wylany na bezprawia i rozpustę, drwił z rzeczy świętych; mówiono mi nawet, że względem władzy, względem rządu po rozbójniczemu się wyrażał. Truciznami temi nasiąkł zapewne między demagogią francuską i węglarstwem Włoch. Obu braci nikt dotąd nie widział ani w kościele ani przy spowiedzi; oba, jak od zarazy, stronią od błogosławionego zakonu. Anioł ciemności nienawidzi światła. Od pewnego czasu krążą po Lwowie o młodszym szczególniejsze pogłoski. Niewiem ile w nich prawdy, przypuściwszy atoli dziewięćdziesiąt dziewięć części fałszu, ostatnia wystarczy na zniweczenie szczęścia młodej hrabianki.

— Dlaczegoż więc nikt nie zawiadomi rodziców; czyliż Sokolnik niema przyjaciół, czy nikt nie posiada jego zaufania?

— Zapóźno, panie grafie; małżeństwo Kazimierza Poraja zdaje się nieodmiennie postanowionem.

— Cóż z tego? czyliż między zamiarem a skutkiem nie znajdzie się miejsca na zręczną a silną wolę?... Wreszcie kto może zaręczyć jak daleko rzeczy zaszły?

— Musiały daleko już zajść. Dziś rano widziałem jednego z przyjaciół i domowników zarazem Sokolnika, którego patron wysłał był z poleceniem do starszego Poraja. Ksiądz Tapczyc—po cóż taić nazwisko?—wstąpił do mnie z powrotem i doniósł jako z rozmowy obu braci, uciętej za jego przybyciem, łatwo można było odgadnąć, że dziś, powtarzam dziś jeszcze, starszy miał udać się do rodziców i uroczyście młodszego oświadczyć. Po oświadczeniu, natychmiast spodziewano się zaręczyn.

— I kapelan nic więcej nie dodał?

— Nic. Piotr Poraj naglony swemi i Sokolnika sprawami, śpiesznie wyszedł i polecił bratu między trzecią a czwartą czekać go na obiedzie w hotelu... nie pamiętam nazwiska; jest to nowy, najwykwintniejszy hotel, zbiegowisko modnego lwowskiego towarzystwa.

— W każdym razie—rzekł szambelan, przypatrując się przez szkiełka świętym obrazom zakonnej komnaty—w każdym razie spodziewam się, że nas obu zaproszą na wesele. W rodzie Porajów nikt zapewne nie żeni się bez muzyki i fajerwerków.

— Biedna hrabianka!—westchnął prowincyał z wlepionemi oczyma.

— Biedna! — echowo powtarzał szambelan, i tłumił chustką napad ziewania.

— Biedna!—wtórowała większa część lwowskiego towarzystwa, dowiedziawszy się niespodzianie o małżeństwie szlachcica z córką magnata.

Żale te wywoływała zawiść raczej przeciw Kazimierzowi, niżeli współczucie ku Maryi.

Zamaszystą młodzież Galicyi i Lodomeryi, niechętnem okiem poglądała na nieusprawiedliwione, zdaniem jej, szczęście nowego przybylca. Nie pojmowano jakiem prawem Poraj, który z nikim dotąd nie żył, do żadnych hulaszczych wypraw nie należał, żadnego dowodu obywatelstwa i tężyzny nie złożył, odrazu sięgał po najwyższe dobro na ziemi, po piękną dziewczynę i suty posag. Oskarżano go o nietowarzyskość, o samolubstwo, wróżono, że jeżeli teraz nosa zadzierał, po małżeństwie nie będzie chciał na nikogo patrzeć.

Skądinąd, sam Sokolnik niemało wzbudzał oburzenia.

Po długiem życiu pełnem blasku, szumu, lśniącego zbytku zapowiedział nareszcie gorąco od wszystkich upragniony dramat wywłaszczenia, bankructwa, nędzy.

Pędzono zewsząd na widowisko; klaskacze trzymali wzniesione dłonie, widzowie nie posiadali się z radości. Obiecywali sobie siła uciechy, siła wzruszeń, gdy wtem magnat, zamiast z żebraczą torbą, wystąpił nagle z ogromnym worem pieniędzy i oświadczył, że szanowna publiczność nadal, jak dotąd, będzie opryskiwaną błotem jego pojazdów, zmuszoną czapkować przed jego zbytkiem i dumą, schnąć z zazdrości na widok jego dostatków, za co, niekiedy wolno będzie wybranym przyjąć udział w wyprawianych przez szczęśliwca balach i uroczystościach.

Wkrótce dowiedziano się skąd Sokolnik dostał pieniędzy—dlaczego córkę wydawał za Poraja.

We Florencyi, w Londynie a może też i w Paryżu (niezgadzano się z pewnością na miejsce), Kazimierz wkradł się był w łaskę pewnej wdowy, nie pamiętano, po amerykańskim bankierze czyli też po admirale w służbie króla wszech Hiszpanii. Ożenił się z nią udając księcia polskiego, i oddziedziczył znaczne bogactwa, wdowa bowiem, z niewytłumaczonej choroby, nagle, pewnej nocy skonała.

Inni utrzymywali, że wdowa wcale nie umarła, ale że odarta z dostatków, jęczała gdzieś zagranicą w szpitalu obłąkanych.

Podobnym fortelem uzbrojony w gotówkę, Kazimierz stanął przed Sokolnikiem w chwili, gdy temuż groziły, wywłaszczenie i ostatnia zatrata. Magnat, chociaż nad przepaścią zwieszony, niebyłby przecie chwycił się brzytwy, gdyby wysokie osoby z Wiednia nie były mu nadesłały usilnych przyczyn za Porajem. Dlaczego zaś cesarscy dygnitarze opiekowali się polskim szlachcicem—zkąd niczem nieusprawiedliwiona łaska na człowieka, który ani rodem, ani otwartymi stosunkami jej niedorastał?... o tem nie umiano jeszcze powziąć dokładnego wyobrażenia. Wreszcie, rząd austryacki tylu potrzebował ludzi, tak dziwnych używał nieraz środków!... Dziwniejsze rzeczy widywano na świecie!... Nie zawadzało trzymać się na ostrożności.

Pogłoski te i przestrogi między młodzieżą rozpowszechniał Juliusz.

Nie wymieniał wprawdzie nikogo; Juliusz w podobnych sprawach pilnie unikał imion własnych, zręcznie atoli napomykał, dawał do zrozumienia, odpowiadał wymownem milczeniem, tłumaczył się gestami, zwierzał z tajemnicy w wykrzyknikach. Sam szatan byłby go nieschwytał na gorącym uczynku obmowy.

Poraj wyraźnie niósł mu nieszczęście. Od przyjazdu jego, od pierwszego z nim spotkania, Juliuszowi nic się nie wiodło. Zdechła mu młoda wierzchowa klacz, dwa razy na polowaniu spadł z konia, na zalotach poczęstowano go czarną polewką, jednego parola, jednej łapy nie mógł szczęśliwie zagiąć; martyngały, kolejki, upatrzanki, wybiórki z zamkniętemi oczyma, zdradzały go jedne po drugich. Fortuna chłostała go bez miłosierdzia; nie było nawet o czem stawić jej oporu, czekać na obrót Sezostrysowego koła. Ze spuścizny po rodzicach zostało tylko wspomnienie i tytuł dziedzica „*in-partibus.*” Gleba z zielonego stolika, jedyny sposób utrzymania, z tłustego czarnoziemu przeszła nagle w wie rutny piasek. Wyczerpały się dawne zasoby a co gorsza i kredyt. Sam Izrael, niewdzięczny Izrael! odwracał głuche ucho na obietnice lubych Talmudowi procentów. Na kontraktach, gdzie tyle przedstawiało się sposobności wypłynięcia na wodę, pośród młodzieży pieniężnej i nierepublikanckiej względem króla Faraona—Juliusz był bez grosza.

Z losem niepodobna było wejść w żadne układy: lichwa upornie zaciskała dłonie. Pasierb rozmacoszonej ślepej bogini wejrzał na ostatnią ucieczkę przed frasunkiem, na cudowny talizman, którego dotąd na próbę nie wystawiał, raz z obawy zniweczenia czaru, to znowu dla szczęśliwego braku wszelkiej potrzeby.

Juliusz na łonie przyjaźni umyślił szukać pomocy. Częstym obyczajem podobnych mu ludzi, w to wierzył uczucie, którego potrzebował użyć na własną korzyść.

— O święta przyjaźni—mówił sam do siebie—ty jesteś!... ty jesteś!... zobaczymy czem jesteś!...—dodał wchodząc do Wilczka.

Oczywiście, dzień to był feralny.

Wilczek po rozmowie z Sokolnikiem, z której zdał był sprawę szambelanowi, przechadzał się szerokimi kroki, brwi na oczy nasuwał, marszczył czoło, stawał przed oknem, konwulsyjnie bębnił w szybę, bez celu gdzieś poglądał. Twarzą i usposobieniem przystępniejszym zdawał się do zwady niż do przysługi.

Wejście przyjaciela wcale go nie rozchmurzyło; rzucił mu kilka słów obojętnej treści ale namiętnego dźwięku.

Juliusz jednym poglądem rozpoznał i ocenił położenie; wiedział że, dzięki długiej wprawie i zręczności, umiał, stosownie do woli, podniecać lub koić, rozpuszczać na wszystkie wiatry lub zwracać w żądanym kierunku gwałtowne towarzysza wybuchy. Rozwinął więc cały kunszt przebiegłości, zwolna, jedne za drugiemi, z czoła pospędzał mu chmury, ugłaskał go w uprzedzeniach, upieścił w próżnościach, uweselił na duszy i tak ku sobie uprzyjaźniwszy, wysunął żądanie koniecznej pożyczki.

Wilczek parsknął śmiechem. Objął go za szyję, ofiarował krew, życie, słowem wszystko, wyjąwszy to czego nie miał—pieniędzy.

Juliusz, w zamian za gotówkę, poprosił o podpis, o zaręczenie.

Ale kropla atramentu, rozwiedziona w nazwisko, więcej znaczyła niż wszystka krew ciała. Panicz odrzekł z żalem, że dał sobie słowo honoru, za własnego brata nie ręczyć, inaczej byłby z radością służył przyjacielowi, że atoli pierwszy wpływ do kasy, będzie na jego rozkazy.

Juliusz zaciął zęby, udał wiarę w przysięgę, zmyślił obojętność na odmowę, dodając wesoło, że potrafi obejść się lub zaczekać, w głębi jednak uczuł się do żywego zakaleczonym. Ponieważ zaś nie miał w zwyczaju przebaczać ciosów, natychmiast więc nakarbował sobie w pamięci nowy dług za doznaną krzywdę. Pożałował zachodów, płonnych uległości, bezskutecznych pochlebstw, straconych umizgów i znów wyciągnął haczyste palce dla rozdrażnienia tych strun, które miękką dłonią tylko co był uspokoił.

Wilczek kończył właśnie uwagę nad powszechną golizną młodzieży.

Juliusz przerwał mówiąc, że zna liczne wyjątki, zepsute dzieci szczęścia, z których najukochańszem był bezwątpienia Kazimierz Poraj.

Nazwisko to zaczynało zbyt często obijać się Wilczkowi o uszy. Ukłuty nienawistnem wspomnieniem, ofuknął się prosząc aby go nie nudzono panem Porajem, z którym nie pragnął mieć nic wspólnego.

Pokraśniało zarzewie; za lada podmuchem płomień miał buchnąć.

Juliusz wpatrywał się w kwiatki obicia i słowo za słowem prawił, że pan Poraj wcale nie był małoważną osobą, że dzięki majątkowi i osobistym zaletom, łatwo mógł sięgnąć po berło nad młodzieżą, że ci zwłaszcza nie mieli prawa lekce go ważyć, którzy jako koligaci przez małżeństwo z blizką pokrewną, będą musieli wkrótce czule go do serca przycisnąć.

Wilczek słuchał cały w ogniach; wybiegły mu na pamięć pierwsze ciosy jakie wskutek kilku zetknięć z Kazimierzem, poniósł był na miłości własnej, i Juliusz zadowolony z siebie a burzy nie ciekawy, już był na schodach, kiedy zapaleniec cisnął za nim serdeczne przekleństwo.

Znalazłszy się sam, skrzyżował ramiona, jął znowu mierzyć posadzkę szybkimi kroki.

Mimochodem zawadził wzrok o zwierciadło. Przeląkł się sam siebie; strasznie był blady, oczy miał zapadłe. Od kilku dni gorączka go trawiła.

Lekarz atoli nie byłby mu pomógł. Sprężysta jego postać jakby ze stali ukuta, broniła przystępu cielesnym dolegliwościom. Cierpienia tkwiły w nim głębiej.

Wilczek przyniósł z sobą na świat ognistą duszę, rzadki hart woli i ów rycerski zapał, jaki siadał niegdyś na skrzydłach polskich husarzów.

Przymioty te na złe mu wyszły. Sam sobie wystarczyć nie mógł; poczynać myśli i z siebie snuć działania nie umiał.

Na zewnątrz też zabrakło mu pola.

Więc aby ulżyć szalonym zapędom krwi i złamać ciało zbuntowane przeciw wytchnieniu, zaczerpnął w środkach jakie podawały mu burza ducha i ogień wyobraźni. Zaczął grać z życiem ale w grę opętaną, w którą żaden z rówienników puścić się za nim nie ośmielił.

Zbiegowisko młodzieży we Lwowie otwierało mu szerokie pole.

Wilczek sprowadził ze wsi swoje wierzchowce, i otworzył wielki bank gonitw, zakładów, nieprawdopodobnych przechwałek, zamienianych w prawdę.

Widziano go palącego spokojnie krótką fajeczkę, podczas gdy rozhukany koń unosił go ku rzece. W chwilę potem jeździec, jak bóg morski okryty zielem, ociekły wodą, wypływał na przeciwnym brzegu.

Innym razem, biedne zwierzę, zmuszone ostrogą do niesłychanego skoku, zwinęło się i runęło łbem na stos kamieni. Z jeźdźca i z rumaka obecni ujrzeli postać Centaura dwóch stworzeń tak z sobą splecionych, że nie można było oznaczyć początku człowieka i końca zwierzęcia. Nieszczęście było nieuchronnem. Zanim widzowie mieli czas odetchnąć, Wilczek zimno poprawiał na głowie kapelusz i oglądał stłuczone od zegarka szkiełko. Koń zabił się na miejscu.

Człowiek ten oczywiście wykutym był z dyamentu; nic go się nie chwytało.

W mieście tymczasem brzmiały odgłosy o niesłychanej jego śmiałości i szczęściu. Młodzież pod niebiosa wznosiła okrzyki, sypała rzęsiste oklaski; sfanatyzowana odwagą i powodzeniem, ubiegała się o zaszczyt trzymania mu strzemion, przysięgała na jego imię; byłaby w piekło za nim skoczyła.

Ale z niemałem zadowoleniem O.O. Jezuitów, nikt tak daleko się nie zapuszczał a wyprawy hałaśnej czeredy kończyły się zwykle przy ołtarzu Bachusa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 1004—50-1

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-38 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—16

„PRIMUS"
Kuchenki naftowo - gazowe palące się ***bez knota,*** nie wydzielając odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Świat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—15

Specyalna Pracownia
Okryć Damskich i Wierzchów do Futer
oraz przyjmuje wszelkie obstalunki
po cenach umiarkowanych
D. SOŁOWIEJ
Warszawa, ulica Bielańska № 19, mieszkania 3.
969—12—11

ZAKŁAD LECZNICZY
dla chorych dotkniętych zboczeniami mowy (niemota, bełkotanie, mowa nosowa, jąkanie i. t. p
D-ra OKTUSZEWSKIEGO
w Warszawie Marszałkowska 67.
W zakładzie znajdują również pomieszczenie i kuracyę dzieci ze zboczeniami mowy upośledzone umysłowo. 998-6-9

W. W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—20
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

Peleryny od rs. **3.—Płaszcze** od rs. 6 nieprzemakalne.—**Kalosze.**—**Wanny** (toby) i **Bidety** gumowe.—**Opaski** ochronne.—**Poduszeczki** hygieniczne. — **Kurtki** na futrze. — **Serdaki** męzkie, damskie i dziecinne.—**Buty** filcowe do polowania, konnej jazdy, podróży i dla chorych.—**Pantofle** od 50 kop. **Kufry, Walizy, Torby i Nessesery.**—**Pudła i pudełka** do kapeluszy i sukien, w wielkim wyborze *polecają*
J. ROKICKI i S-ka
WARSZAWA 979-15-10
Nowy-Świat 53 i Wierzbowa 8.

PRACOWNIA SUKIEN i OKRYĆ DAMSKICH
JADWIGI ESMAN,
b. krojczyni firmy **B. Herse.**
Krakowskie-Przedmieście, Hotel Saski 116, I-e piętro.
Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach w Paryżu jak: **Rouff, Felix i Doucet,** następnie zarządzając czas dłuższy pracownią W-go Hersego, obecnie przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres konfekcyi damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów. Obstalunki na prowincyę wykonywa się podług przysłanej miary. 1010-12-2

Pracownia Sukien i Okryć
i nauka kroju systemem Wortha.
L. Stefańskiej
Plac Krasińskich № 8a, parter
Wykonywa suknie i wyprawy podług najświeższych modeli paryskich, z materyałów własnych lub powierzonych. Wykończenie staranne. 1011—6—1

DARMO PORTRETY
Kredkowe

By rozpowszechnić te wspaniałe **Kredkowe** portrety w Rossji, ***Towarzystwo ARTYSTYCZNE PORTRETÓW w Paryżu*** zrobi każdemu czytelnikowi i abonentowi tego dziennika jeden portret **Kredkowy** wielkiej wartości **ABSOLUTNIE DARMO,** byle tylko to zawiadomienie zostało odcięte i przesłane wraz z fotografią dla reprodukcji w przeciągu 25 dni począwszy od tej daty dziennika, i osoba obiecała polecać nasze Towarzystwo swym krewnym i przyjaciołom. Prosi się pisać bardzo czytelnie swoje nazwisko i adres na odwrotnéj stronie swej fotografi i przesłać to pocztą do M^on^ **TANQUEREY,** Directeur de la *SOCIÉTÉ ARTISTIQUE de PORTRAITS, 9, Rue de St-Pétersbourg, Paris (France).* Fotografia zostanie zwrócona nietkniętą razem z dużym portretem natychmiast wykonanym.
1014-3-1

Tom I-szy opuścił prasę
i jest do nabycia we wszystkich księgarniach



„Wśród nocy i lodów"
Norweska wyprawa
na biegun północny
1893—1896.
Fridtjofa Nansena.

Wydanie ozdobne, około 200 rycin, 7 chromolitografii i 2 mapy geograficzne; 2 duże tomy w 10 zeszytach.
Cena zeszytu rs. 1.—z przesyłką rs. 1.25. Składający przedpłatę za 10 zeszytów z góry, kosztów przesyłki nie ponoszą.
Skład główny w księgarni
Gebethnera i Wolffa w Warszawie.
Krak. Przedm. 15.

Również są na składzie **Oryginalne, Ozdobne Okładki** z angielskiego płótna z wyciskami. Cena okładki do jednego tomu kop. **60** z przesyłką pocztową kop. **80.** Zamówienia przyjmują wszystkie księgarnie. Skład główny w księgarni **Gebethnera i Wolffa w Warszawie,** *Krakowskie-Przedmieście № 15.*

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-50-16
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

Jöel Herzenberg
Warszawa, Tłomackie № 1.
SKŁAD TOWARÓW JEDWABNYCH i MANUFAKTURNYCH
oraz 993-12-5
wszelkich Podszewek dla Konfekcyi Męzkiej i Damskiej

J. Hałaczkiewicz, po powrocie z zagranicy poleca najświeższe nowości. Przyjmuje pióra i wachlarze, do prania, farby i fryzowania z gwarancyą niezniszczenia. Ceny nader umiarkowane. Bielańska 7, Hotel Krakowski I piętro. 976—10—9

Klementyna K. b. krojczyni magazynu W-ej D. Kurdelskiej, wykończa wszelką krawieczczyznę damską starannie i niedrogo. 1001-12-5
Ogrodowa 19 m. 14

Władysław Popiel
Jubiler. Egzystuje od 1858 r.
Warszawa, Senatorska Nr. 6
poleca wielki wybór biżuterji gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-1

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-37

Pierwszorzędne biuro **Michaliny Ptak i Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego.
904—25—13



KANARKI
pięknie śpiewające, Papugi gadające, szare i zielone, Kardynały czerwone, zielone i szare, Inseparables, chińskie Słowiki złote i srebrne Rybki, poleca tanio bo w prywatnem mieszkaniu. 1002-4-3
E. FUNK,
ul. Nowogrodzka № 31. m. 2, 2-gi dom od Marszałkowskiej.

Maurycy Lepersohn
Dzika 16 m. 16.
Wykwalifikowany za granicą, poleca wykonane akuratnie podług najświeższych fasonów
Okrycia Damskie i Wierzchy do futer.
Tak z własnych jak powierzonych materjałów
1003-12-4

Skład Fortepianów i Pianin



K. O. FIEDLER
Warszawa, 64 Nowy Świat 64.
Częstochowa 2-ga Aleja dom W-go Bessera
Sprzedaż na raty i wynajem
Na składzie fortepiany: Blüthnera, Bekkera i innych
Pianina od rub. 300 z poręczeniem.
Przybory do fortepianów
1009-12-4

SPECYALNY ZAKŁAD
Reperacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-46

!!!WAŻNE DLA DAM!!!
MAGAZYN
Okryć Damskich
S. LEWI,
Niecała 12, I-e piętro.
Roboty wykonywają się przez krawców męzkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.
CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-22

Po gruntownem odnowieniu i rozszerzeniu interesu. **Specyalna Pracownia i Magazyn** BIELIZNY Męzkiej, Damskiej i Dziecinnej **E. Z. ANUSZEWSKIEJ** ***Marszałkowska 91.***
Poleca **Bieliznę** własnego wyrobu odznaczającą się wyborem **krojem, trwałością i niskiemi cenami,** przyjmuje zamówienia na całkowite wyprawy z własnych i powierzonych materyałów. 1005—12—4